Powieść i Nowela

ROK XXI WARSZAWA, DNIA 6 KWIETNIA 1929 ROKU NR. 14

V. WILLIAMS.

TRÓJKA TREFL

2)

Dzięki stanowisku, jakie zajmowała — była sekretarką swojego stryja i opiekuna Andrzeja Fitz-Geralda, członka rządu Stanów Zjednoczonych — żyła w bliskim kontakcie z tymi, których nazwiska figurują w almanachu Gothy, oraz wielu osobistościami ze świata dyplomatycznego. Lecz w tym dniu nie pragnęła odnawiać żadnych przyjaźni i znajomości, ten dzień styczniowy był przeznaczony na rozmowę, jaką miała prowadzić z Godfreyem.

Spojrzała na swój maleńki platynowy zegarek. Pierwszy pociąg z Londynu przybył już, następny musiał już wjeżdżać na dworzec.

Żywiła nadzieję, iż Godfrey będzie ją oczekiwał na dworcu Saint - Lazare. Gdyby był przyleciał samolotem, to zdążyłby napewno. Może niepogoda przerwała komunikację lotniczą...

Wysłała z New Yorku kablogram, że będzie w Paryżu piątego stycznia i zajedzie do hotelu Ritza.

Niezdecydowanie, charakteryzujące ciotkę Marcię, a w dodatku grypa, która przykuła do łóżka tę zacną kobietę na osiem dni — pokrzyżowała plany Wirginji. Postanowiły tak nagle wsiąść na pokład La France, iż młoda dziewczyna nie miała nawet czasu powiadomić o tem listownie Godfreya. Prowadzili stałą korespondencję i Wirginja wiedziała, że po Gwiazdę Godfrey będzie w Londynie, gdyż odwołano go z Budapesztu, dokąd wysłało go Foreign Office po konferencji w Washingtonie.

Dziwnem wydawało się Wirginji, że Godfrey nie przybył na jej spotkanie, przecież otrzymał kablogram. Miała tego dowód, gdyż wsiadając do swojej kajuty na La France, znalazła kosz przepięknych róż z kartą, na której znajdował się napis: „Z całą wiarą". Więc zadepeszował, by obstalować kwiaty. Czemu jednak nie wysłał depeszy do niej, i dlaczego nie było go?

II.

WIADOMOŚCI O GODFREYU CAIRSDALE.

Wirginja starała się sama odpowiedzieć na te pytania. Może nie doręczono mu kablogramu. Napewno zadepeszuje, albo też napisze. Prawdopodobnie zatrzymano go służbowo i zjawi się lada chwila.

Zaufanie, które żywiła dla Godfreya, było niezachwiane; jej natura pełna optymizmu i prostoty nie znała zwątpienia. Wierzyła i — obce jej były troski i niepokoje, dręczące tyle osób zakochanych.

Z całą radością myślała o spotkaniu z Godfreyem.

Czy będzie harmonizował z tem tłem?

Czy będzie odpowiadał idealnemu obrazowi, jaki sobie stworzyła po tylu tygodniach rozłąki?

Przypomniała sobie pierwsze z nim spotkanie i to wspomnienie wywołało nagle uśmiech na jej ustach.

Zaginął jakiś ważny dokument, wysłany przez rząd amerykański do poselstwa angielskiego i żadna z kancelarji nie chciała wziąć na siebie odpowiedzialności za to wydarzenie. Godfrey Cairsdale, drugi sekretarz przy poselstwie brytyjskiem, miał przeprowadzić śledztwo. Jego uwagi na ten temat — zresztą bardzo złośliwe — zostały powtórzone pannie Filz Gerald, sekretarce Andrzeja Filz Geralda.

Gdy zjawił się u niej, nie wiedziała nic o nim i nie znała nawet jego nazwiska. Był to młody mężczyzna, wysoki, o atletycznej budowie, czarnych włosach, greckim profilu i oczach pełnych ognistego wyrazu. Bardzo opanowany i uprzejmy, charakteryzowało go swobodne, lecz doskonałe zachowanie, odnosił się do płci słabszej z pełną litości wzgardą. Ten stosunek do kobiet, a więc i do niej, doprowadził Wirginję do rozpaczy. Wystarczało, by powiedziała jedno słowo, a już kwestja zaginionego dokumentu byłaby wyjaśniona — posiadała bowiem dowód, że ten dokument został wręczony angielskim władzom — lecz miała ochotę zabawić się jego kosztem, i podniecić zimnego, zrównoważonego Anglika.

— Panno Fitz Gerald — rzekł wkońcu — pani nie zdaje sobie sprawy, że mój zwierzchnik ma z tego powodu wielkie przykrości i prosił mnie, bym rzecz tę wyświetlił. Byłoby mi niezmiernie przykro, gdybym musiał mu powiedzieć, że nie znalazłem pomocy...

Wtedy Wirginja wyjęła z szuflady biurka pokwitowanie odbioru dokumentu przez angielską ambasadę i ujrzała, ku swojej radości, jak Godfrey Cairsdale zarumienił się z gniewu i wstydu. Z gniewu na urzędnika, który popełnił błąd, i na nią, która zakpiła sobie z niego.

Lecz potem widywali się dosyć często i śmieli się razem z pierwszego oficjalnego spotkania. Godfrey Cairsdale był, w pewnej mierze, objawieniem dla Wirginji. Znała i przedtem Anglików, lecz żaden nie był do niego podobny. Zewnętrznie był idealnym przedstawicielem swojej rasy; ubrany bez zarzutu, wytworny w ruchach i zawsze dbający o opanowanie wrażeń, których impulsywni Amerykanie nie potrafią ukryć. A jednak pod pozorną obojętnością Godfreya

Cairsdale kryła się nieskruszona wola, nieprzeciętna inteligencja, tendencje do ironizowania i pociąg do romantyzmu.

Ku wielkiemu zdumieniu, dowiedziała się z czasem Wirginja — Godfrey nie lubił opowiadać o sobie — że był wybitnym językoznawcą, że ukończył uniwersytet w Oxfordzie z chlubnem odznaczeniem i że dyrektor Metropolitan Muzeum wyrażał się z uznaniem o jego książce o architekturze romańskiej. Pozatem był szampionem golfu i tennisa.

Wreszcie, jego szare spokojne oczy taiły w sobie płomienny żar.

Tego wieczoru, gdy w zacisznej bibliotece ministra rzeczpospolitej agentyńskiej Godfrey ujął w swoje ramiona Wirginję i wyznał jej swoją miłość, głos jego brzmiał głęboką namiętnością i wzruszeniem.

Uczuła dla niego niekłamaną sympatję. Lecz kochała swobodę i nie uznawała małżeństw między cudzoziemcami. Czyż nie miała żywych dowodów, jak niepomyślne skutki dają tego rodzaju związki? Jej ciotka Marcia opuściła ojczyznę w osiemnastym roku życia, ażeby poślubić francuskiego arystokratę, hrabiego de Kerouzan. Jego śmierć, na krótko przed wojną, położyła kres nader przykremu pożyciu małżeńskiemu i nieskończonej ilości rozczarowań ciotki Marci. Straciwszy sentyment dla męża, hrabina de Kerouzan zakochała się w Paryżu i tam zamieszkała ostatecznie, odwiedzając często Amerykę.

Ani ciotka Marcia, ani stryj Andrzej nie znali tajemnicy Wirginji. Nikomu się nie zwierzyła z sympatji dla Godfreya. Sama, zresztą, nie wiedziała, jaką odpowiedź da Godfreyowi Cairsdale.

Już wiele mężczyzn starało się o jej względy. Niektórzy byli bogaci, inni biedni, niektórzy sympatyczni i inteligentni, inni przystojni i zajmujący. Lecz dla żadnego z nich nie miała ochoty poświęcić swobody, oraz interesującej pracy na polu dyplomatycznem... Cairsdale stanowił wyjątek.

Podczas ubiegłych miesięcy nie przestawała rozmyślać o tem i wkońcu doszła do wniosku, że odpowiedź, jaką da Godfreyowi, będzie niezależna od jej woli, że samo spotkanie z nim zadecyduje o wszystkiem. Brakował jej bezustannie; od chwili jego wyjazdu czuła się smutna i osamotniona, a nadzieja, że zobaczy go wkrótce, wzruszała ją głęboko.

Tok myśli przerwało wejście jednej osoby, poprzedzonej przez Klemensa, maître d'hôtela. Ten ostatni posuwał się tanecznym krokiem i wskazując ruchem ręki stół Wirginji, dawał znaki hrabinie de Kerouzan, która przeciskała się z trudem przez salę pełną ludzi.

Jej miła twarz promieniała uśmiechem; starała się dotrzeć do stolika swojej siostrzenicy, a za nią szedł mały pikolo, uginając się pod ciężarem futra pani de Kerouzan.

Ciotka Marcia była uosobieniem dobroci, co jest poniekąd cechą charakterystyczną otyłych kobiet. Lecz mimo swej ciężkiej postawy, mimo brzydkiej francuszczyzny i nieznośnego akcentu, mimo wierności, jaką żywiła dla Ameryki, potrafiła, dzięki sympatycznemu obejściu, zdobyć wybitne stanowisko w tej dziwnej oligarchji, zwanej „tout Paris".

Wytworne towarzystwo, zebrane o tej godzinie u Ritza, witało ją serdecznie. Co chwila zatrzymywała się, ażeby uścisnąć czyjąś dłoń, zamienić kilka słów, lub uśmiechnąć się do dawno niewidzianych przyjaciół. Ilekroć zatrzymywała się, mały pikolo deptał po jej piętach.

— Nareszcie! — rzekła ciotka Marcia, siadając ostrożnie. — Jak to miło z twojej strony, że czekałaś na mnie z herbatą. — Klemensie, poproszę o herbatę z cytryną i z drobnemi ciasteczkami.

— Zaraz, pani hrabino.

Maitre d'hôtel pochylił się z szacunkiem i wydał rozkaz, ażeby prędko obsłużono doskonałą klijentkę.

— Widzisz, moje dziecko — zaczęła ciotka Marcia, rozsiadając się wygodnie w złoconym fotelu — kocham moją ojczyznę i szczycę się mojem pochodzeniem, ale nie jestem znana w Ameryce, tu natomiast cieszę się pewną popularnością, a to musi sprawiać przyjemność kobiecie, tak starej i brzydkiej kobiecie, jak ja.

Wirginja uśmiechnęła się:

— Nie znam osoby, którahy potrafiła lepiej objaśnić, dlaczego kocha Paryż.

— Oczywiście, zwiedziłam wiele krajów i doszłam do przekonania, że tylko we Francji ludzie potrafią żyć. Jakże będę rada, gdy znajdę się znowu w mojem mieszkaniu! Spójrz na lewo, czy to lord Dalburnham? Jak się postarzał! Okropna jest ta dama, którą prowadzi; mógł by być jej dziadkiem! Dobry wieczór, książę!

Siwiejący mężczyzna z czerwoną rozetką przy klapie marynarki pochylał się przed markizą de Kerouzan. Przedstawiła go siostrzenicy; Jenny podała mu rękę z roztargnieniem. Myślała o Godfreyu. Ostatni pociąg z Londynu przyjeżdżał około dziewiątej? Znajdował się w nim?

Głos ciotki Marci przerwał te rozmyślania.

— Ależ to Klaudjusz Lorne!

Markiza wbiła wzrok w młodego człowieka, który podchodził do stolika, uśmiechając się uprzejmie. Był smukły, złotowłosy, niebieskooki i ubrany bardzo wytwornie. Szara jedwabna chustka, wychylająca się z bocznej kieszonki, harmonizowała z krawatem i srebrzystą perłą, przepiętą przez krawat.

Ciotka Marcia przedstawiła go Jenny:

— Syn mojej najserdeczniejszej przyjaciółki — rzekła.

Młody człowiek spojrzał ze szczerym zachwytem na Wirginję. Jej olśniewająca cera, popielate włosy, delikatne rysy, wdzięczna postać posiadały urok pełen prostoty.

— Niech pan siada i opowie nam o sobie — rozkazała ciotka. — Gdy widziałam pana po raz ostatni, był pan jeszcze w Eton. Ależ wyrósł pan od tego czasu! Co pan robi w Paryżu?

— Jestem w powrotnej drodze do Wiednia — odparł Klaudjusz Lorne — wracam z dwutygodniowego urlopu.

— Klaudjusz przy ambasadzie — objaśniła ciotka Marcia.

Teraz dopiero Wirginja Fitz-Gerald spojrzała z zainteresowaniem na młodego człowieka. Może zna Godfreya. Trzeba się będzie dowiedzieć, gdy tylko nadarzy się po temu jakaś sposobność.

— Jak się miewa droga lady Lorne? — zapytała markiza.

— Dziękuję, znakomicie. Ma zamiar spędzić całą zimę w Londynie. Byłaby zachwycona, gdyby ją pani odwiedziła...

(D. c. n.).

ADAM M. NOWAKOWSKI

AGENTKA

Poznałem ją w wagonie. Czy znacie ją? — Jeżeli nie — to wasze szczęście. Ostrzegam was. Jest złotowłosa, wysoka i smukła. Kiedy porusza się, czyni to z wdziękiem rosyjskiej księżnej. Oczy wielkie, podłużne, jak migdały, — fiołkowe. Spoglądają pytająco, — jak oczy dziecka zasłuchanego w piękną bajkę. Znaków szczególnych żadnych, — chyba rozkoszna dziurka w policzku, zmieniająca stale swe położenie, — zależnie od uśmiechu, — wesołego, ironicznego lub zagadkowego. W tym trzecim rodzaju jest mistrzynią, wygląda przecież, jak rosyjska księżna z powieści.

A więc — poznałem ją w wagonie. W pierwszej klasie. Zapomniałem powiedzieć wam, że nazywa się miss Elly.

Siedziała przy oknie, — naprzeciwko mnie, z nogą założoną na nogę. Obok niej na poduszkach lśniąca szyldkretowa torebka, — nad nią dwa wielkie, przepyszne necessery.

Czytała jakiś dziennik. Paliła papierosa — z mundsztukiem, jakich miljony tygodniowo robi zrujnowana rosyjska arystokracja, — silnie perfumowanego — marki, zdaje się, Excentric, sam już dziś nie wiem zresztą.

Była piękna, — bardzo piękna, nic więc dziwnego, że wpatrywałem się w nią uparcie. Zauważyła to. Uśmiechnęła się nieznacznie.

Ośmielony zagadnąłem. Powiedziałem coś bezdennie głupiego i całkiem oklepanego, — o pogodzie czy jednostajności krajobrazu. Jednakże zostało przyjęte z przemiłym, pełnym wyrozumiałości uśmiechem.

W pół godziny byliśmy już przyjaciółmi. Jedliśmy wspólnie moje cukierki i paliliśmy jej rosyjskie papierosy.

Rozgadałem się. Opowiedziałem jej, że jadę do narzeczonej, której jeszcze nie znam nawet z wyglądu, ale że jest gorącem życzeniem mej rodziny, abym ją poślubił; — naplotłem mnóstwo nieciekawych szczegółów o naszej wielkiej farmie w Wyoming, o stosunkach, znajomościach, — zwierzyłem się, że mam własne konto w banku i że wybieram się do Europy, — że nie uważam, aby ustawa prohibicyjna była koniecznie potrzebną... i wiele, wiele podobnych głupstw.

Słuchała wszystkiego z zajęciem, — ogromnie wyrozumiale. Długą, białą, wypielęgnowaną ręką bawiła się zamkiem torebki i od czasu do czasu spoglądała na mnie z zainteresowaniem. Ach! była lady-like w każdym calu.

Kiedy doszedłem do skarg na prohibicję, — co zresztą u młodego, zdrowego i pełnego sił Amerykanina jest całkiem usprawiedliwione — sąsiadka moja powstała z kanapki i wskazując roześmianym wzrokiem na jeden ze swych zabójczo eleganckich necesserów, rzekła:

— Chciałabym panu coś pokazać, proszę łaskawie pomóc mi!

Momentalnie spełniłem żądanie.

W trakcie wspólnego zdejmowania pakunku włosy jej musnęły moją twarz. Zadrżałem i zaczerwieniłem się, jak uczniak.

— O pardon! — szepnęła i zarumieniła się także.

Necesser był djabelnie ciężki: prawdziwa skóra krokodylowa i wypakowany po brzegi. Elly wyjęła zeń niewielką kryształową flaszeczkę.

— Woda kolońska? — spytałem.

— Nie, — odparła — coś dla pana... francuski koniak... a tu są tasty — niebardzo świeże coprawda, ale cóż robić?...

Zaśmiałem się.

— Jeżeli tylko o to chodzi...

— Tylko o to, mój panie.

Piliśmy ze srebrnego kubka, maleńkiego, jak naparstek, nadsłuchując z przestrachem, niby zbrodniarze. Naturalnie, że zasunęliśmy firanki.

Alkohol dodaje odwagi: — szepnąłem.

— Elly, — pani jest prześliczna...

Nadąsała się.

— Niech pan lepiej weźmie tasta, — rzekła, — a nie plecie głupstw.

— To nie są głupstwa! — zaprotestowałem.

— Dobrze, już dobrze! — ale wypij pan wreszcie ten kubek, — bo flaszkę musimy wyrzucić...

Dziwiąc się sam swej śmiałości (w styczniu skończyłem lat osiemnaście), pochyliłem się i — ucałowałem białe paluszki, podające mi pełny kubek.

Nie usunęła ich, zresztą nie mogła, — każda kropla wylana na podłogę przedziału stanowiłaby corpus delicti.

— Pan jest niemożliwy, — rzekła, — proszę wypić!

I przytknęła mi kubek do ust.

Wypiłem do ostatniej kropli, — ach, któżby nie wypił z takiej pięknej rączki, — do tego koniaku — prawdziwego francuskiego i w Ameryce, gdzie (my Amerykanie liczymy zawsze trzeźwo!) jeden kieliszek kosztuje najmniej pięć dolarów.

W nagrodę otrzymałem tasta — też ze ślicznej rączki, mówię wam o mało nie pożarłem jej, jak ryba Jonasza.

Tym razem Elly nie broniła się wcale, — rzekła tylko poważnie:

— Wpierw niech pan wyrzuci flaszkę, — proszę bardzo...

Spełniłem, czego zażądała.

— Teraz proszę być grzecznym i usiąść przy mnie, — ale — o! — nie tak blizko!

...pokażę panu coś ciekawego, — szepnęła, uśmiechając się zagadkowo; — duże, fiołkowe oczy jej zalśniły, jak ametysty.

Szybko odpięła pasek i podając mi go, rzekła tajemniczo:

— Dostałam go od wielkiej księżnej Tatjany, — prawdziwy rosyjski...

Pasek był piękny, nie przeczę, — ale w tym momencie nie zainteresował mnie zbytnio. — Wziąwszy go do rąk, zauważyłem tylko, że zrobiony jest z czarnej lakowanej skóry, z kunsztownie wplecionemi w nią srebrnemi rublami.

— Cudowny, — skłamałem, — i korzystając ze sposobności:

— Czy mogę go pani zapiąć? —

Zaśmiała się srebrzyście.

— Jeżeli to panu zrobi przyjemność?...

Czy zrobi przyjemność?... w danej chwili większej nie wyobrażałem sobie.

Sposobność zapinania paska pięknej kobiecie, sam na sam oczywiście, jest sposobnością niezwykłą; — wiedzą o tem dobrze wszyscy, którym kiedyś uczynić to było wolno.

Usta nasze spotkały się. Naturalnie! — tak być powinno! Koniak... atmosfera zbrodni... (bo picie alkoholu jest wszak przestępstwem) i zasunięte firanki... to wszystko są psychologiczne momenty.

Nagle Elly zerwała się z kanapki. Była poważna — tak! — śmiertelnie poważna. Z małej, łaskawej księżniczki z bajek Tysiąca i jednej Nocy zmieniła się znów w dystyngowaną, rosyjską nieznajomą.

Wyciągnęła notes i pióro.

— Pańskie nazwisko: Henry Albuth, — prawda?...

— Tak.

— Lat ośmnaście?...

— Tak.

— Mieszkanie: Wyoming, Oakfield, farma „Jane"...

— Tak.

— Panie Albuth! — przez dwie godziny wygadywał pan na nasz rząd, — krytykował pan nasze stosunki, urządzenia, — ustawy..., — obrażał pan najwyżej postawione osobistości... wo-

góle zdradzał pan poglądy bolszewickie — a już conajmniej — anarchistyczne...

Każda z tych drobnostek wystarczyłaby, aby panu złamać życie, raz na zawsze, ale ja —, ze względu na młody wiek pański — gentlemanie, — tu Elly uśmiechnęła się po dawnemu, — nie zrobię z tego użytku...

Natomiast ważnem jest, — iż mimowoli wyznał pan nazwiska ludzi, przekraczających nałogowo ustawę o prohibicji. Są to — o ile pamiętam: — senator M. F., — pański łaskawy ojciec, — adwokat Coole, — inżynier E. C. Stephen, — Mr. Fordwin, — Dr. Glother i generalny dostawca spirytusu aptekarz Mac O'Nell... czy się nie mylę?...

Zdębiałem.

— Miss Elly! — to są żarty! — przecież pani sama... ten koniak...

Zaśmiała się ironicznie.

— Jaki koniak?... panu się coś śniło...

— Koniak! — w kryształowej flaszeczce...

— Ma pan tę flaszeczkę?...

— Wyrzuciłem! — na pani rozkaz!

— Tak?... trzeba było nie wyrzucać! — o niczem nie wiem! — ...Harry.

Drzwi od przedziału otworzyły się. Wszedł barczysty, trzydziestokilkoletni blondyn z arkuszem w ręku.

— Harry, — czy protokół już gotów? —

— Oto on.

— Mister Albuth, — proszę łaskawie podpisać.

Cóż miałem robić? — Zgrzytając ze złości zębami (oj te kobiety!) podpisałem, jak umiałem najpiękniej swe nazwisko. Po wyjściu ze szkół był to mój pierwszy, samodzielny podpis.

Pociąg zwolnił biegu, — stacja.

— Harry, — odprowadzisz pana do aresztu! — zakomenderowała krótko miss Elly, pakując swój necesser.

— Do aresztu?... za co?...

— Za przekroczenie ustawy o prohibicji... Nam ajentom-prowokatorom częstować zawsze wolno, panu zaś picie — „ustawowo wzbronione"... zrozumiał pan? — Pozatem, odpowiadać pan będzie za „napastowanie kobiet samotnie podróżujących", — odciski pańskich palców są na pasku...

— Ależ miss Elly!

— Nazywam się Elzie Hawk — agentka policji.

— Pani Hawk, — wyjąkałem, — ja — koniecznie muszę być dzisiaj w Chicago, — czy, — czy... nie mógłbym — zapłacić?...

— Zapłacić?... komu?... czy pan chce mieć jeszcze jedną skargę o „usiłowane przekupstwo"?...

— Ależ pani! — kaucję — chcę złożyć, — kaucję... — krzyknąłem rozpaczliwie.

— Kaucję? — a to co innego, — oczywiście, że można. Harry, wystawisz panu pokwitowanie na $ 5.000, — ze stemplem i w obecności urzędnika ruchu.

Właśnie przechodził urzędnik, pani Hawk skinęła nań, — podszedł, — wysłuchał, o co chodzi i zgodził się być świadkiem. Ja zaś wziąłem moją całkiem nową książeczkę czekową i wzdychając ciężko, położyłem podpis swój — drugi podpis w tym dniu fatalnym — pod kwotą: dolarów „pięć tysięcy..."

— — — — — — — — — — — — —

Hm! — owej kaucji w życiu już nie zobaczyłem. Ale nie upominam się. Wolę mieć do czynienia z oszustami, niż z policją i ustawą o prohibicji... zresztą na 5.000 dolarów za całusa stać mnie zawsze...

K o n i e c

PRAWO I EKONOMJA

Tyle mamy teraz materjału o ważności politycznej, tyle zainteresowań dla spraw konstytucji, form rządu, że życie naukowe przepływa w cieniu. Nie jest to dobrze. Nauka często przynosi znacznie więcej treści, powagi, istoty rzeczy, niż zmienne fluktuacje polityczne. Nie wszyscy to rozumieją, bo atmosfera powojenna zburzyła głębsze tendencje społeczne i kulturalne.

Dziwić się należy niemało, iż wbrew takiej atmosferze istnieje u nas ważna instytucja kulturalna, prowadząca systematyczną pracę oświatową o poziomie uniwersyteckim. Od lat oczekuje ona na uznanie jej wartości i przyznanie praw uniwersyteckich. Wykłady prowadzą wybitni specjaliści, niekiedy profesorzy rządowych uniwersytetów. Nie wystarcza to jednak. Istnieją jakieś motywy natury politycznej (bo o naukowych nie może być mowy), utrudniające sytuację tej instytucji. Jest to zasłużona Wolna Wszechnica Polska w Warszawie. Już od lat pięciu istnieją przypuszczenia, że właściwe czynniki zdecydują pozytywnie o jej prawach. Sprawa jednak odwleka się w nieskończoność. Przed wojną tyle pisało się i mówiło o wartości oświaty, wiedzy, kultury: teraz w niektórych środowiskach pasożytuje lęk przed zbyt wielką ilością ludzi z wykształceniem uniwersyteckiem. Według tych mniemań, rządowe uniwersytety dostarczają już za dużo, jak na nasze stosunki, patentowanych absolwentów... Jest to dziwne mniemanie: sprzeczne z naszemi marzeniami o stanie kultury w Polsce niepodległej.

Kierownicy Wolnej Wszechnicy nie dają się jednak zbić z tropu, i słusznie. Stoją na placówce wytrwale, przysparzając krajowi światłych pracowników. Ukazał się obecnie rocznik wydziału nauk społecznych i ekonomicznych pt. „Prawo i Ekonomja" (1928/29). Księgę tę zredagował p. Stefan Dziewulski, dziekan wydziału prawno - ekonomicznego przy współudziale prof.: A. Ettingera, J. Jamontta i Wł. Maliniaka. Publikacja ta daje możność publicznej kontroli nad poziomem, kierunkiem i wartością pracy naukowej, jaka odbywa się na tym wydziale Wolnej Wszechnicy. Na treść tomu złożyły się studja: S. Bukowiecki — „Praca społeczna a państwo", Z. Golińska - Daszyńska — „Teorja R. T. Malthusa", L. Babiński — „Szósta sekcja konferencji Prawa Międzynarodowego", Z. Rynkiewicz — „Stosunek prawa prywatnego do prawa publicznego" oraz J. Kurnatowski — „Solidaryzm". To były prace profesorskie. Uczniowie pod kierunkiem swoich mistrzów opracowali tematy: „Pieniądz i Skarbowość w Z. S. S. R." (Z. Szempliński), „Sismondi i Rodbertus, jako politycy społeczni" (J. Mosdorf), „Rozwój miasta Kowla" (J. Łoskiewicz).

Rozprawy te są widomym znakiem metody i umiejętności obchodzenia się z materjałem naukowym, jakich nabyli w pracach seminaryjnych. Są one o poziomie, wytrzymującym konkurencję z równoznacznemi dyssertacjami na wszechnicach nietylko polskich, ale i zagranicznych.

Rocznik „Prawa i Ekonomji" poprzedził redaktor Stefan Dziewulski, dziekan wydziału, źródłowym nekrologiem pt. „Życie i praca ś. p. prof. Antoniego Górskiego", b. rektora Wolnej Wszechnicy, znakomitego prawnika, uczonego o szerokiej skali zainteresowań społecznych.

Księga ta nasuwa wiele ciekawych refleksji naukowych i budzi przeświadczenie, iż Wolna Wszechnica ostoi się wśród prądów nieżyczliwych; sieje i daje ziarna, musi zbierać plony.

Dr. Z. M.

